Rok III.

Nr. 5. Nr. 5.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Ogłoszenia po 1½ sgr od drobnego wiersza.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 1 lutego 1873.

Ul. Fryderykowska Nr. 27.

O poezji polskiéj XIXgo wieku

napisał

Dr. Adam Bełcikowski.

(Ciąg dalszy.)

Gorszono się téż tą improwizacją Konrada, widziano w niéj dumę i bluźnierstwo. Jednak nawet w księgach starego zakonu mamy pieśni Joba, treścią swoją bardzo do niéj podobne. To pytanie: dla czego istnieje zło i nieszczęście na świecie, nigdy podobno nie przestanie zajmować wyższe duchy i czujące mocno dusze. Jest to jedna z zagadek tego świata, a nie można brać za złe tym śmiałym umysłom, które puszczą się nawet w ciemny labirynt zwątpienia, aby tylko znaleść jéj rozwiązanie. Pytanie to jest całkiém naturalne w rozumie ludzkim, naturalną także i boleść, jaką sprawia ta niedocieczona tajemnica. Na uniewinnienie poety możnaby powiedzieć, że najczystsze dusze, najszlachetniejsze serca właśnie podobne pytania podnoszą, odsłaniają te bolące rany ludzkości, wiedzione miłością i współczuciem dla cierpiących. Bóg téż pewnie ani takich skarg, ani takich buntów za grzech im nie poczyta, i prędzéj dochodzić będzie głuchego milczenia obojętnych na podobne widoki.

Bóg nie odpowiedział Konradowi, my jednak mamy tę odpowiedź i wytłomaczenie strasznéj zagadki. Otrzymujemy je w dalszym ciągu poematu, w celi księdza Piotra. I on jak Konrad czuje głęboko cierpienia narodu, ale zanosi je przed tron Boga z pokorą ducha. Dla téj to zapewne przyczyny, poeta chrześcijańskiém uczuciem wiedziony, pozwolił jemu widzieć w objawieniu to, co dla Konrada szturmującego do nieba z tytaniczną dumą, pozostało zakryte. W widzeniu, jakie ma ks. Piotr, dowiadujemy się tajemnicy upadku i cierpień Polski. Polska upadła, umarła politycznie, aby ponieść cierpienia i śmierć dla dobra i zbawienia całego świata, jak niegdyś Chrystus. Jéj ostatnie chwile, epoka rozbiorów, przedstawione są w tém widzeniu pod postacią męki Chrystusowéj:

......Widzę ten motłoch: tyrany,
Zbójce biegą, — porwali — mój naród związany,
Cała Europa wlecze, nad nim się urąga:
„Na trybunał!“ Tam zgraja niewinnego wciąga...

I w ten sam sposób daléj kreśli poeta ten obraz upadku Polski aż do ostatniéj chwili:

Mój kochanek! — Już głowę konającą spuścił,
Wołając: Panie! Panie! za coś mię opuścił —
On skonał! —

Wtenczas słychać chóry aniołów i daleki śpiew wielkanocny. Zapowiada on zmartwychwstanie Polski podobnie znowu, jak powstał z martwych Chrystus dopełniwszy przez mękę i śmierć dzieła odkupienia. Niedaremne zatém i nie bez przyczyny są cierpienia Polski, jéj upadek i niewola. Bóg nie zapomniał o niéj, nie przestał jéj kochać, ale zrobił ją narzędziem swéj woli i miłości. Bóg więc nie jest tylko mądrością — jest miłością i ojcem świata, nie tyranem bez celu i powodu znęcającym się nad swém stworzeniem.

Z widzenia ks. Piotra dowiadujemy się również daléj, w jaki sposób ma nastąpić zbawienie Polski zbawiającéj ludzkość. Ma się to stać za pomocą jakiegoś tajemniczego męża, którego osobę poeta tak określa:

Któż ten mąż? — To namiestnik na ziemskim padole!
Znałem go — był dzieckiem — znałem:
Jak urósł duszą i ciałem!
On ślepy, lecz go wiedzie anioł pacholę.
Mąż straszny ma trzy oblicza,
On ma trzy czoła.
Jak baldahim rozpięta księga tajemnicza
Nad jego głową, osłania lice...
Podnóżem jego są trzy stolice,
Trzy końce świata drżą, gdy on woła;
I słyszę z nieba głosy jak gromy:
To namiestnik wolności na ziemi widomy!
On to na sławie zbuduje ogromy
Swego kościoła!
Nad ludy i nad króle podniesiony —
Na trzech stoi koronach, a sam bez korony:
A życie jego — trud trudów
A tytuł jego — lud ludów;
Z matki obcéj; krew jego, dawne bohatery:
A imię jego czterdzieści i cztery.

W przedostatniéj scenie poematu, kiedy ks. Piotr spotyka Konrada prowadzonego na śledztwo do Nowosilcowa, tak się do niego o tym mężu — wybawcy odzywa:

Ty pojedziesz w daleką, nieznajomą drogę,
Będziesz w wielkich, bogatych i rozumnych tłumie:
Szukaj męża, co więcéj niźli oni umie.
Poznasz, bo cię powita pierwszy w Imię Boże;
Słuchaj co powie —

Lecz w téj chwili żołnierz, dozorca Konrada, rozłącza ich i nie dowiadujemy się nic pewniejszego o przepowiadanym wybawcy.

Widzenie księdza Piotra zawiera w sobie całą treść poetyczno-polityczném teorji, nazywanéj Messjanizmem. Jak widzieliśmy, nauka ta składa się z dwóch głównych punktów. Najprzód, że Polska przeznaczona była na Messjasza narodów, dla tego cierpiała i skonała, i powtóre, że wskrzeszenie Polski, jéj wybawienie z niewoli nastąpi przez jakiegoś wielkiego człowieka, który znowu dla niéj będzie Messjaszem.

V.

Kto miał być owym zapowiedzianym przez poetę Messjaszem, rozmaicie odgadywano, bo do słów jego wielką przywiązywano wagę. Powszechne niemal było mniemanie, że poeta miał na myśli jakiegoś pewnego człowieka, znanego jemu i innym. Domyślano się więc, że rozumiał przez owego Messjasza samego siebie, albo Towiańskiego, to znów widziano w nim (podówczas) księcia Ludwika Napoleona (XLN, pierwsze litery nazwiska były niby owém „czterdzieści i cztery" z widzenia ks. Piotra), a wreszcie i księcia Czartoryskiego (sorok czetery). Można jednak z pewnością powiedzieć, że Mickiewicz nie myślał o żadnéj szczególnéj osobie, a chciał skreślić obrazowo tylko postać wielkiego człowieka w ogóle, jak go sobie wyobrażał. W tym samym czasie kiedy Dziady na świat wychodziły, napisał Mickiewicz do jednego z pism politycznych: „O przyszłym wielkim człowieku" i z artykułu tego widać jasno, że oprócz takiego ogólnego pojęcia, nie miał zresztą żadnego innego o przyszłym zbawcy narodu, nic bowiem pewnego o nim nie powiada, czyni tylko domysły i kreśli idealny jego charakter. Również owe atrybuty dawane przyszłemu Messjaszowi w widzeniu księdza Piotra nie ściągają się bynajmniéj do pewnéj osobistości, a co ma oznaczać owe „troiste oblicze" i „troisty tron", to wytłomaczył nam dostatecznie poeta w ostatniéj swojéj prelekcji w Collège de France, przytaczającéj właśnie ustęp z owego widzenia ks. Piotra. „Człowiek ten z troistem obliczem i z troistym tronem, ukazał się już Izraelitom, Francuzom i Sławianom", ma zatém trzy oblicza dla tego, że ma trzy różne cechy tych narodowości, pomimo pewnéj wspólności ich missyjnego charakteru, ma trzy trony, bo był ideałem, władzcą duchowym trzech narodów. Jest to człowiek wyższy, z charakterem, jaki te trzy ludy tylko zdołały nadać swym wyobrazicielom — człowiek z natchnieniem bożém, poświęcający się jak Chrystus dla całéj ludzkości, rozciągający swą działalność na cały świat. W dziejach bowiem tylko tych trzech ludów, Izraelitów, Francuzów i Sławian, widzi Mickiewicz tego rodzaju misję cywilizacyjną, humanitarną; inne narody pracują tylko dla swych szczegółowych interesów, nie dla całéj ludzkości.

Idea messjaniczna również jest treścią „Ksiąg Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego." Jako najwyższy ideał historji, zaraz na pierwszych stronach Ksiąg Narodu Polskiego postawiona jest społeczność chrześcijańska, która obejmuje całą Europę pracującą w celach bożych i połączoną w braterstwo przez ewangeliczną naukę miłości. Według zdania Mickiewicza, był okres w historji europejskiéj spełniający ten ideał, mianowicie wieki średnie. Tutaj bowiem spostrzega on fakt szczególnéj natury: wyprawy krzyżowe, będące wspólném usiłowaniem Chrześcijaństwa, podjętém w celach tylko idealnych. Temu powołaniu chrześcijańskiemu sprzeniewierzyli się wkrótce królowie i odciągnęli od niego ludy. Narody odstąpiwszy Chrystusa zaczęły sobie tworzyć osobne bóstwa, to jest zaczęły hołdować egoistycznemu interesowi i materjalnym celom.

„Królowie tedy wyrzekłszy się Chrystusa, porobili nowe bogi, bałwany i postawili je przed obliczem narodów i kazali im kłaniać się i bić się za nie.

„I tak zrobili królowie dla Francuzów bałwana i nazwali go Honor; a był to ten sam bałwan, który za czasów pogańskich nazywał się cielcem złotym.

„Zaś Hiszpanom zrobił król bałwana, którego nazwał Preponderancją polityczną, albo Influencją polityczną, czyli mocą i władzą; a był to ten sam bałwan, który Assyryjczycy czcili pod imieniem Baala, a Filistynowie pod imieniem Dagona, a Rzymianie pod imieniem Jowisza.

„A zaś Anglikom zrobił król bałwana, którego nazwał Panowaniem na morzu i handlem; a był to ten sam bałwan, który się nazywał dawniéj Mamonem.

„A zaś Niemcom zrobiono bałwana, który się nazywał Brodsinn czyli Dobrobyt; a był to ten sam bałwan, który się nazywał dawniéj Molochem i Komusem.

„I kłaniały się ludy bałwanom swoim."

Z narodów europejskich tylko Polska pozostała wierną posłannictwu chrześcijańskiemu. Ona szła do braterstwa ludów, czego dowodem jest w jéj historji dobrowolne połączenie się z Litwą i Rusią; szła do braterstwa członków społeczeństwa, czego przykład widzimy w równości szlachectwa polskiego, które coraz szerszym okręgiem dążyło do objęcia w sobie całego narodu; w niéj też jedynie zachowała się Wolność.

„Ale jeden naród Polski nie kłaniał się nowemu bałwanowi (Interesowi), i nie miał w mowie swojéj wyrazu na ochrzcenie czcicieli jego, którzy nazywają się z francuzkiego egoistami.

„Naród polski czcił Boga, wiedząc, iż kto czci Boga, oddaje cześć wszystkiemu, co jest dobre.

„Był tedy naród polski od początku do końca wierny Bogu przodków swoich.

„Jego królowie i ludzie rycerscy nigdy nie napastowali żadnego narodu wiernego, ale bronili chrześcijaństwo od pogan i barbarzyńców niosących niewolę."

Następstwem téj niezgodności ducha i politycznego ustroju Polski z Europą był jéj upadek, po którym

przyjdzie zmartwychwstanie, oswobodzające i inne europejskie ludy z niewoli.

W tym samym duchu pisane daléj i Księgi Pielgrzymstwa Polskiego. Przedewszystkiém pragnie poeta utrwalić współwygnańców wiarę, że ich nieszczęście jest tylko czasowe; wybawienie z wygnania nastąpić musi, dla tego, że Polska jedna zachowała cnoty chrześcijańskie, dla życia przyszłéj ludzkości potrzebne:

„A wy będziecie wzbudzeni z grobu, boście wierzący, kochający i nadzieję mający.“

Emigracja téż jest niby ludem wybranym między poganami Egiptu i Babilonu. Całości jéj ducha i cnót narodowych chce poeta bronić i ostrzega ją o niebezpieczeństwach zepsutéj cywilizacji, wśród któréj przebywa; napomina rodaków, aby nie przesiąkali egoizmem, materjalizmem, bałwochwalstwem mamony i rzeczy doczesnych, bo oni są jakoby Apostołowie wśród pogan, przeznaczeni do dania Europie prawdziwego Boga.

Messjanizmu dobrą i pożyteczną stroną było utrzymanie godności ducha narodowego, narażonego na tyle pokus znikczemnienia i odstępstwa. W nieszczęściach i cierpieniach tak ogólnych jak i osobistych, niejeden mógł upaść i zwątpić o świętości sprawy. Głos poety więc napominał, aby dla realnych korzyści, jakie w pierwszéj chwili mogło przynieść zastosowanie się do powszechnego w Europie prądu wyobrażeń, nie zatracać charakteru całéj przeszłości ani przymiotów, któremi Polska w historji jaśniała. Głos taki mógł wzmocnić wiarę polityczną ojców, i wlać pociechę w pokolenie wystawione na tyle klęsk i dolegliwości.

Byłoby jednak szkodliwą rzeczą zastosowywać messjanizm do polityki. Był on apoteozą bezwzględną całéj przeszłości, a takie ubóstwienie siebie samych prowadzi do zaślepienia i wytrwania w błędach. A nie ulega wątpliwości, że w obyczajach i wyobrażeniach narodu wiele było i jest do poprawienia. Polska upadła nie z winy swoich dobrych przymiotów (coś podobnego byłoby okropną nielogicznością historji!), nie szlachetność, bezinteresowność, nie wolność ją zgubiły, ale wady tym przymiotom przeciwne: prywata możnych domów, niedbałość o swe własne sprawy, swawola całego stanu szlacheckiego, a ucisk klas niższych. Od wieku XVIgo począwszy, wszyscy światli i cnotliwi obywatele czuli potrzebę otrząśnięcia się z tych błędów i coraz głośniéj, coraz rozpaczliwiéj wołali o poprawę Rzeczypospolitéj!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TRZY MIESIĄCE.

Ze znalezionego rękopismu

wydał

Józef Narzymski.

(Ciąg dalszy.)

— Wiesz Iziu!... kocham cię za to, że tak szczerze admirujesz piękność drugiéj...

— Bo wiem, że mam jéj także na swoją potrzebę...

— Iziu!... Iziu!... zawołała oburzona matka.

Ale Iza była wtedy z tą pewną siebie pozą tak piękna, tak szczera, tak jéj się to wyrwało naturalnie, że matka łajać nie miała serca, a ja ją ściskałem z radością i dumą...

— Brawo Iziu!... brawo — wołałem — bo niczego tak nie wielbię, jak szczerość i naturalność...

— Ah!... — mówiła rozpromieniona — jakżebym ja ci biła brawo, żebyś ty się rozkochał w mojéj Marylce a ona w tobie!... Tylko że to trudno...

— Tak?...

— Oh! bardzo!... Ona bardzo wymagająca... jéj przyszły musi być ideałem...

— No, to już ze mną rzecz skończona...

— Oh! czemu?... byle cię tylko poznała, to jest byleś ty jéj się dał poznać takim jak jesteś... naprawdę... rozumiesz Karolu... Oho!... Iza cię zna!... i siadłszy na moich kolanach, odrzuciła mi w tył włosy a drugą ręką objąwszy za szyję, szczebiotała:

— Oh! tak!... bądź sobą... tylko sobą... jak to z nami być umiesz... a raczéj bywałeś... i pokochaj ją, a ona cię pokocha... pokocha z pewnością... ja wiem czego ona chce... o czém marzy... i zawsze jéj mówiłam: „Mój Lolo akurat taki.“ Mój drogi!... mój najmilszy!... mój złoty braciszku!... zakochaj się w Marylce i ją rozkochaj i ożeń się z nią i wprowadź ją do nas... To moje marzenie złote i... — dodała ciszéj — marzenie mamy...

Spostrzegłem że to, co brałem za żart, moje anioły traktowały na serjo. Choć mnie zawsze oburzała myśl „być ożenionym“, przecież w tém podsunięciu myśli było tyle delikatności i naiwności, że obrazić się było niepodobieństwem. Po raz pierwszy nawet dowiedziałem się, że matka o tém myślała... Ale ta kobiéta pełna delikatności zlękła się nawet pozoru nacisku i przerwała:

— Nie wierz jéj Karolu!... kocham bardzo Marynię, ale nigdybym ci nie narzucała żony... nawet nie doradzała...

— Ja mu radzę... czemu nie... niby on mi nie będzie radził także...

— Leona — szepnąłem w ucho.

Spłonęła jak róża i chciała się rozgniewać, ale wolała udać że nie słyszy i mówiła daléj:

— Otóż, żeby mój braciszek nie czekał za romansowym wypadkiem, zbieganiem koni, burzą na strumieniu lub czémś podobném, powierzam ci tu list i pudełko do Marylki, a ty mi dajesz słowo honoru, że bądź co bądź we czwartek najdaléj oddasz osobiście to do rąk adresantki... To bardzo pilne. Reszta pójdzie sama z siebie!... I przybierając patetyczną minę, zaczęła deklamować: „Gdy się dwie gwiazdy...“ a, już nie pamiętam daléj... Przyrzekłem wszystko, boć okrucieństwem byłoby odbierać im nawet nadzieję... ale scena ta, tak miła, wdzięczna i naturalna w każdéj rodzinie, tylko boleśnie odbiła się we mnie... bo była ona względem mnie mimowolną ironją...

Mnie marzyć o kochance czy żonie... o ognisku domowém!... mnie!... ha!... ha!... ha!... a 12 czerwca co mówi?...

Szczególna jednak zmiana, jaka zaszła w poważném usposobieniu Izy, ten jéj zapał do swatania brata i przyjaciółki, były dla mnie niezbitym dowodem, że Leon nie darmo oczy przewracał. Schwyciwszy więc sposobną chwilę, zrobiłem stosowną uwagę matce.

— Oh! ja już dawniéj tego się domyślałam... cóż myślisz?...

— Ja bardzobym pragnął tego... znam go dobrze... szlachetna dusza...

— I ja tak sądzę... odpowiedziała matka... i los i szczęście Izy zostały postanowione. Bogu niech będzie chwała! choć jednego dopełniłem obowiązku!...

Pudełko musiałem przy Izie zamknąć do kuferka, list musiałem włożyć do pugilaresu. Alfred przyszedł na pożegnanie, ale się trzymał dobrze.

Minąwszy rogatki po razy kilka obejrzałem się za Warszawą... za tém miastem, które kochać się każe nawet obcym, a w którém część życia mego została...

Powóz pędził po szosie, a im bliżéj byłem Dębowa, tém pilniéj mi było!... Nareszcie o zmroku trąbka zagrała... stanęliśmy!.. Ale dosyć tego... zmęczony jestem... Bałem się, żeby mi scena przy śniadaniu nie zbladła pod siłą innych wrażeń... a Izie miło będzie, gdy kiedyś przekona się, żem zapamiętał każde jéj słówko i giest każdy!... Teraz spać!... ah! spać mi się chce serdecznie, od sześciu tygodni po raz pierwszy!... Dzięki ci wiosno!... Ty nawet widmo śmierci zielenią karmisz... A jutro jak świt w pole... ale cię wezmę ze sobą mój ty spowiedniku papierowy... Przywykłem do ciebie i ten rachunek codzienny sumienia wychodzi mi na dobre. Co za śliczna noc... Dwunasta... ah! mniejsza... Daleko ztąd do tamtąd... a dziś usypiam wśród ciszy wiejskiéj i cały jeszcze pełen wiosennego powietrza i zapachu pękających liści!... Piękny jest świat!...

Dębowo 27 kwietnia.

Trzeci już dzień rozkoszuję się wsią. W tym roku wiosna dziwnie wczesna, jak gdyby dla mnie umyślnie, bym jéj użył do syta. Żebyż aby maj był piękny i ciepły, bo dni mglistych boję się teraz. Te trzy dni były śliczne... Na koniu lub z kijem w ręku przebiegłem wszystkie pola, napiłem się oddechu lasów, popatrywałem stodoły i obory. Na twarzy rządcy i ekonomów widzę wyraz przerażenia i trwogi. Rzeczywiście sam siebie pytam, dla czego ja nie gospodarowałem sam dotąd, a teraz tak się tém ciekawie zajmuję?... Wszak znam się na tém — byłem w Proszkowie i na praktyce. U mnie gospodarstwo idzie nieszczególnie, po staremu... Od dwóch lat wróciłem z zagranicy i oto nie robiłem nic... Przedewszystkiém trzeba zaprowadzić płodozmiany. Widziałem wielki kawał bagien, któryby łatwo osuszyć można. I tu koło domu. Niby to porządnie i z pańska... wielki park i dziedziniec przed domem ogromny, ale coby tu zrobić można... Gdyby nie... a ba!.. Trzeba było dawniéj myśleć o tém... Dziwna rzecz, że ja innemi oczyma teraz na wszystko patrzę. Powinno mnie to wszystko nie obchodzić... a przecież interesuje bardziéj jak dawniéj... W chatach jest tak jak było. Bieda, brud, niechlujstwo... wieje oknami i drzwiami, z sionki, gdzie się pasie prosię, wyziewy szkaradne zatruwają powietrze, lud nędzny... dzieci obdarte, brudne i nagie... Jakże to musi skracać życie... a przecież żyć tak dobrze!... Nie dbałem o nich... może niejedno z tych dzieci z powodu tych brudów i zaniedbania umarło wcześniéj... Teraz dopiéro widzę ile krzywdy człowiek może wyrządzić nic nie robiąc nawet...

A smutno to jednak umierać tak młodo nic nie zrobiwszy, nic nie zostawiwszy za sobą... Umierać z przekonaniem, że dzieła nasze nas przeżyją, że imie nasze błogosławioném będzie przez pokolenia, jest może dziecinną pociechą, ale jest pociechą... Nasłuchałem się tylu pozytywnych i materjalistycznych prelekcji, znam teorje nowoczesne, i trudno rozumowi memu oprzeć się dowodom, jakie szkoła ta przytacza.. Tak... któż kiedy naprawdę widział ducha?... Wszystko co człowiek czuje, tworzy, myśli jest dziełem lub grą jego organów materjalnych, których funkcje nauka już odszukała lub jest na drodze odszukania. Nieubłagana logika każe wierzyć, że świat cały jest wynikiem równowagi i wiecznego tarcia się sił pewnych, ale te siły wcielają się w materję także...

Więc człowiek jest rozwiniętém zwierzęciem, szczytem organicznych istot, ale niczém więcéj... Mózg człowieczy może się zwiększyć, o tyle naprzykład, o ile nasz się zwiększył w stosunku do mózgu człowieka kopalnego, ale zawsze tylko mózgiem zostanie... narzędziem do tworzenia idei, z chwilą śmierci jednak rozpływającém się w materji... Z człowieka więc nie zostaje nic duchowego, nic osobistego, nic czującego...

Tak chce nauka... tak dziś sądzi większość ludzi wykształconych... a jednak dawniéj już, i dziś bardziéj jeszcze jak dawniéj, jest coś we mnie, co głośno protestuje przeciwko téj teorji, co woła, że nauka się myli, że jest w człowieku i we wszechświecie jakiś pierwiastek duchowy, nieśmiertelny, niewsiąkający w materję, by zgnić i przetworzyć się chemicznie z nią razem...

Nie!... to niepodobieństwo!... ja... który kocham, myślę, mam poczucie piękna i tęsknotę za ideałem, ja, który wciąż przeczuwam i dążę do czegoś nieznanego i nieistniejącego tutaj, ja, który pchany tém instynktowém przeczuciem idę coraz daléj i daléj i zwyciężam nietylko materję, lecz siłę... ja, człowiek, miałżebym być tylko materją?... Więc wszechmądra przyroda, która każdemu stworzeńku dała wszystko co mu potrzeba... nie mniéj i nie więcéj, miałaby człowieka tylko obciążyć kłamliwém pragnieniem i apetytem fałszywym?... Nie! niech nauka mówi co chce... ona musi błądzić w jakimś punkcie i jest przejściem tylko... Człowiek nie umiera całkowicie... zostaje się z niego coś...

I gdybym na prawdę uwierzył, że ze strzałem pistoletu ginie cała istność moja, oh! wtedy anibym myślał o wykonaniu warunków pojedynku... Honor?... Gdzież miejsce dla honoru w zwierzęciu?... Jeżeli w człowieku nie ma pierwiastku duchowego, to owe poświęcenia, cnoty, bohaterstwa, honor, ojczyzna, farsą są i dzieciństwem...

Na pozór zdawałoby się, że łatwiéj jest umrzeć z myślą, że się skończy wszystko... nie ma niepokoju o przyszłość, nie ma strasznéj zagadki: co potém?...

Z doświadczenia wiem, że tak nie jest... Nie raz i nie razy tysiąc od chwili losowania owo straszne: co potém? stawało mi przed umysłem, zagadkowo, przerażająco... sfinksowo... Odpychałem to widmo. Nie wspominałem tu o tém, bom się lękał... Czułem, że wątpliwości zwyciężyły wiarę... a wtedy... Tu na wsi jakoś spokojniejszy jestem... To wiosenne odżycie natury uspokaja mnie... Zauważałem, że ile razy nowoczesne wyobrażenie o człowieku przeważało we mnie... ile razy sądziłem, że z hukiem pistoletu tylko trochę materji zostanie ze mnie, tyle razy śmierć zdawała mi się szaleństwem, okropnością, i pytałem się w duchu: czy słowo jak honor warte tego?... Jeżelić z życiem kończy się wszystko, to to życie, byt, jest dla mnie najwyższym skarbem, i nie ma rzeczy, dla któréjby go poświęcić warto... Gdy zaś instynkta moje kazały mi wierzyć, że coś z człowieka zostaje, obejmowała mnie prawda trwoga i przestrach wielki... ale ta tajemnica wabiła, ta wiara w inny byt jakiś łagodziła grozę śmierci...

W mieście w pierwszych chwilach koniec bez nieśmiertelności stawał mi jako rzecz niewątpliwa... Dla tego może tak wiele cierpiałem... Od czasu przybycia matki, a zwłaszcza od chwili wyjazdu na wieś... wiara w nieśmiertelność, w duchowość człowieka wraca...

Jakto?... więc z takiéj, jak moja matka istoty, szczypta prochu się zostanie tylko?... więc ten rozum, ta miłość.. ten instynkt odkrywający głąb dziecięcego serca, to dzieło komórek i gruczołków, nerwów i mięśni?...

Nie! to niepodobna...

Tak!... tak!... po tysiąc razy tak!... jest po za grobem coś...

Nie jestże to iluzja także?... Oh! straszna niepewność!...

Dębowo 24 rano w lesie.

Jak tu pięknie i miło... Promień słońca nie zajrzał jeszcze we wszystkie zakątki cieniste lasu, nie wypił wszystkich brylantowych kropel rosy... Błyszczą wszędzie na około mnie na gromadzie sasanek, na wrzosie, kapią z leczczynowych listeczków młodych...

Tak mi tu dobrze, tak miło, że się wybrać nie mogę do Słomnik... Jutro jednak czwartek, dzień ostatni...

Dziwna ta Izia ze swoim zapałem do połączenia nas z Marynią... Sądząc z fotografji, zdaje się ładna... bardzo nawet ładna... w moim guście. . jedna z tych twarzy nieklasycznych, niestworzonych wedle cali i linji, ale pełnych uroku ogólnego i wdzięku, jaki tylko dusza daje...

Któż wié?... gdyby tak dawniéj?... Szkoda!... Co prawda nie kochałem jeszcze ani razu na prawdę... Naturalnie były sentymenta studenckie, upodobania, miłostki, kaprysy nawet gwałtowne... Mój młodzieńczy romansik z Anielą miał nawet wiele do miłości podobieństwa... Ale prawdziwie nie kochałem jeszcze... Żadna z kobiét nie potrafiła rozbudzić tego uniesienia, o którém poeci mówią... przed żadną bezwarunkowo nie uklękłem duszą... Podobała mi się ta i owa, pragnąłem jéj gorąco i namiętnie, ale żeby kobiéta stała mi się wszystkiém... żeby miłość jéj była choć na chwilę życia mego potrzebą i koniecznością, nie było tego zdarzenia... Tak... kochałem się nieraz, ale... nie kochałem ani razu...

A jednak i ja marzyłem miłość wielką... i ja czułem i czuję, że do niéj zdolny jestem... i ja mam swój ideał... Nie spotkałem go dotąd... ale spodziewałem się zawsze... dziś... zapóźno!...

Szkoda!... Szkoda, skończę nie kochając... A jednak miłość to szczyt duchowego życia, to krótsza lub dłuższa chwili extazy, w której człowiek kosztuje kilku kropli prawdziwego szczęścia...

Umrzeć a nie kochać i nie być kochanym... umrzeć a nie zaznać owych chwil zachwytu, gdy dwie dusze zapominając o wszystkiém, zlewają się w jedno... ani razu na wzór Romea nie sprzeczać się o to, czy słowik czy skowronek śpiewa... wyjść z życia nie zajrzawszy do tego zaczarowanego kątka, który jest rajem życia, nie doznawszy tego, co jedynie coś warte w życiu!... to smutno... Życie bez miłości... to nie życie... Umrę nie żyjąc...

Źle, że mi ta myśl przyszła... byłem uspokojony, zrezygnowany...

Ha! cóż robić!... Może to i dobrze... mniéj powodów do żalu...

Dębowo 29.

Co się ze mną robi?... Byłem dziś w Słomnikach i wróciłem oszalały, oczarowany... szczęśliwy i rozpaczający... Gdym spotkał pierwsze spojrzenie téj kobiéty, gdy ręka moja dotknęła jéj ręki list oddając, poczułem, że to... ona... Oh! tak!... tak!... to ona!... Czém przy niéj te wszystkie piękności, którem widział lub którem admirował przez chwilę?... Gdzie oczy, z którychby równie jasno i wyraźnie anielska patrzała dusza?... gdzie istota, któraby takim głosem powiedziała te parę wyrazów:

— Spodziewam się, że ukochany brat Izy będzie i moim przyjacielem...

Słysząc ten głos drżałem... bo zdawało mi się, żem go słyszał od dawna... gdzieś w snach moich czy marzeniach... jak harmonijny i brzmiący szeptał mi: kocham cię... kocham!...

Tak, to ona!... to marzeny mój ideał... a raczéj nie!... to jeszcze coś piękniejszego, idealniejszego.. tyle gracji, tyle wdzięku... nie widziałem nigdy.. każdy jéj ruch zdaje się być śpiewem, każdy uśmiech ukazaniem się słońca... każde spojrzenie pieszczotą pełną dziewiczéj czystości...

Ale cóż ja robię?... Chcę ją opisać?... Analizuję ją... Szaleństwo... te kilkadziesiąt zabazgranych stronnic już mnie zaraziło manją literacką... Wszystko zeszpecić piórem... anioła z uroku obedrzeć, opisując długość jego nosa i ust szerokość...

Marję opisać!... Marję odmalować piórem czy podobna?... Słońce nawet nie umiało tego... jéj fotografja to karykatura zaledwie, bo fotografja schwytała kontury tylko i formy... Zresztą nie wiem czy ona piękna... czy za niska lub za wysoka, czy owal jéj twarzy jest bez zarzutu!... Co mi do tego!... Co mnie to obchodzić może?... Marja jest tą, którąm śnił i marzył... oto wszystko!... Tym razem się nie mylę... Nigdy żadna kobiéta takiego na mnie wrażenia nie zrobiła od razu... A wrażenie to rosło im uważniéj patrzałem na nią, im surowiéj chciałem oceniać każde jéj słowo, im dłużéj zostawałem w jéj atmosferze... Ah! nareszcie kocham!...

Dębowo 30 kwietnia.

Wczoraj pełen uniesienia i szału, owiany jeszcze jéj urokiem, napisałem wyraz „kocham...“ Dziś, po nocy marzeń i po dniu spędzonym wśród lasu, powtarzam to wyznanie. Kocham jakem nie kochał nigdy... kocham po raz pierwszy prawdziwie... Czuję to po przewrocie, jaki w całéj méj istocie zaszedł, po nastroju méj myśli, po téj nieustanności, z jaką obraz jéj widzę wszędzie... z jaką głos jéj brzmi w moich uszach...

Jestem zaproszony na jutro do Słomnik na obiad... Jakżebym pragnął by godziny minutami były... Drżę radością na samą myśl, że się zbliżę znów do niéj, że ją widzieć i słyszeć będę... Jaka ona cudna!... jak ona...

Dębowo 1 maja.

Jakiż ja dzień przepędziłem dzisiaj!... Jakby mi sprzyjając, słońce świeciło i grzało, pączki drzew pękały w oczach, fijołki rozwijały się na wyścigi, wonią swą przepełniając powietrze, ptaszki w zieleniejących już drzewach wszystkiemi głosami szczebiotały, wszystko żyło, radowało się, kochało, śpiewało pieśń życia, miłości i nadziei... Z pól, z łąk, z drzew, z kwiatków wiał ów powiew pachnący, wiosenny, ożywczy, pod wpływem którego starzec nawet czuje życie odradzające się w piersi, i z dziecinnym uśmiechem, upojony, pijany, marzy, że jest młodzieńcem.

I w takim dniu byłem z nią razem... Obiad w Słomnikach po staremu bywa wcześnie... Starzy państwo i równie stary proboszcz zostali na ganku przy kawie czarnéj... ona bez przesadnéj ostrożności, sama, otwarcie, spokojnie, zaproponowała mi przechadzkę...

Która z miejskich panien odważyłaby się zniknąć wśród szpalerów i cieni sam na sam z młodym człowiekiem?... bez mamy lub cioci?... Marji na myśl nie przyszło, żeby w tém mogło być coś zdrożnego... Istoty, jak ona, instynktem czują, że w samotności czy w obec tłumu, nikt nawet myślą ubliżyćby im nie śmiał...

Chodziliśmy długo... ona swobodna, z dziwną mięszaniną powagi i wesołości opowiadała mi czasy spędzone razem z Izą na pensji, pokazywała mi kwiaty w oranżerji, opatrywała inspekta i z równém zajęciem

zdawała się przypatrywać prześlicznemu rododendronowi, jak wschodzącéj rzodkiewce...

Ja byłem pełen admiracji, uniesienia, szczęśliwy i wesoły jak dziecko... Mój smak artystyczny lubował się każdym jéj ruchem, giestem każdym... Czy rękę wyciągnęła by listek zerwać z drzewa, czy przyklękła by kwiatek uszczknąć, czy z powagą profesora opowiadała mi historję i własności egzotycznego krzewu w oranżerji, była zawsze pełna wdzięku, uroku... W tém co mówiła, nie było ani egzaltacji, ani pospolitości... Było to naprzemian dziecko i rozumna, myśląca kobiéta... Stanąwszy na tak zwanym ślimaku, pokazywała mi pola i smugi zielone, i zarumieniona, sama jak bogini wiosny, biorąc mnie za rękę i drugą pokazując w koło, mówiła:

— Patrz pan, jakie to piękne, jakie nasze!... Nie ma gór, to prawda... ale czyż tylko góry zachwycać mogą... Piękność jest wszędzie... Co bardziéj uspokajającego, wdzięczniejszego jak ta równina lekko pofalowana, pohaftowana wszystkiemi wdziękami zieleni, urozmaicona tu i owdzie wioską, kościołkiem, laskiem... zlewająca się w dali tak cudownie z błękitem... Patrz pan... tam na dole, nad rzeczką te pasące się krowy!... Powiedz pan, czy Rosa Bonheur piękniejszy, świeższy krajobraz utworzyć może?... Widziałam Alpy... uwielbiałam... ale mi strach było... tu... uwielbiam i uśmiecham się... A gdy mi pokazywała ów szeroki krajobraz, gdy zapomniawszy się mówiła o nim językiem, którego powtórzyć nie umiem, ale który był najpyszniejszą improwizacją poetyczną, wypowiadaną jednak bez emfazy i namysłu, nie wiem doprawdy jaki anioł stróż uchronił mnie od rzucenia się przed nią na kolana i powiedzenia, że ją kocham...

— Gdy się krzewy rozrosną na tym ślimaku — mówiła schodząc — za jakie lat kilka, będzie to najulubieńsze moje miejsce...

— Za kilka lat — rzekłem korzystając ze sposobności — pani gdzieindziéj urządzać się będziesz...

— Dla czego?...

— Pójdziesz za mąż...

— Hm... kto wié...

— To prawda... Pani wolno być trudną w wyborze...

— Ah! karzesz pan moją zarozumiałość... Niesłusznie... Ja jeden warunek stawiam...

— Ciekawym — rzekłem drżąc prawie.

— Oh! bardzo prosty... Chcę kochać...

— Ale w tém właśnie kwestja, jakim być trzeba, żeby zyskać miłość...

Spojrzała na mnie wielkiemi oczyma swemi zdziwiona.

— Nie wiem doprawdy... mnie się zdaje, że rozwiązanie téj zagadki do tego kogoś należy...

Dziwna rzecz! W ustach innéj kobiéty słowa te byłyby otwartém wyzwaniem, kokieterją rażącą. Marja powiedziała to tak poważnie i serjo, że podobne podejrzenie na chwilę nawet błysnąć nie mogło...

Zmęczona siadła na kamiennéj ławeczce w altanie.

Mogłem usiąść przy niéj, ale dziwny jakiś szacunek nie pozwolił mi na to... Siadłem na przeciwko... Marja z fijołków układała bukiet i nie patrzyła na mnie... Mnie w téj chwili położenie moje stanęło przed oczyma w całéj grozie swojéj... Kochać ją... może być kochanym... cudną tę istotę nazwać swoją... żyć w atmosferze téj niewinności i wdzięku... co za raj!... A tymczasem!!..

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z poezji wschodu.

Pielgrzym.

Na dziś, za siebie, za swój wiek i czas
I cóż wy dacie? pytam, pytam was;
Pytam bez folgi, bo tu trzeba dać
Bo czeka niebo, czeka ziemia mać
Po ziemi powiał bardzo wielki chłód
Potężne duchy złamał marny trud,
I nędzarz świata w nędzy swojéj siadł
I pyta Boga — czy zdeptany gad
Ów wróg człowieka, co w złéj woli wzrósł
I śmierć wieczystą w kraje ducha wniósł.
Czy wroga tego zabił ducha chrzest
I czy Bóg wieki jako był, tak jest —
Czy tylko czeka, czy odwrócił twarz
Od ziemi naszéj ten Zbawiciel nasz?
Czy się poprawić, czy już umrzeć nam
Czy prawda górą, czyli grzechu kłam?
Na czém stanęło? pytam, pytam was
Pytam za siebie, za swój wiek i czas?
Idę wzdłuż ziemi, jak szeroki świat,
Nie wiem kto wrogiem, nie wiem kto mi brat
Bo gwiazdę Bożą człowiek z czoła ztarł
Odpadł od ziemi, duchem w ziemi zmarł —
I jako upiór straszy żywy świat
Bo od swych złości i od trwogi zbladł
I od téj złości ledwie zdoła stać
I chciałby w złości wszystko na śmierć dać
Ale że wszystko mocniejsze niż złość
Mózg mu wysycha i wysycha kość.
I żywe trupy zaległy wśród dróg,
Kędy narody miał prowadzić Bóg,
Lecz nie prowadzi, — bo go nie chcą znać
I wszyscy pragną, a wysycha zdrój,
I wszyscy łakną, a nikt nie chce dać
A więc w rozpaczy, pójśćby chcieli w bój.
Lecz bojowników rozbroił sam Bóg
To też nie stało na ziemi już dróg.
Bo miłość zgasła, a za słaba złość
Ni dobréj woli, ni rozumu dość.
I w ugór puścił Bóg ten nędzny świat
Aby odpoczął i człowiek i kat.
Bo gdzie prócz winy, i prócz krwawych kar —
Nie ma już Bożych, ani ludzkich miar
Tam Bóg dotyka, i siada na sąd
I bierze znowu nędznych dziejów rząd
Do rąk wszechwładnych, by ukoić szloch
I do przybytku dźwignąć nędzny proch
Jaki zgotował dla wybranych swych
A na śmierć wieczną, oddać w duchu złych
Aby znów znali, że chcąc z działu brać
Potrzeba w Bogu i przymierzu stać
I z tém co boskie i co ludzkie jest
Bo sprawiedliwość, to odwieczny chrzest
To tajemnica, i władzy i dróg
Które naznaczył w swém przejrzeniu Bóg.
Innych nie będzie człowiek w ziemi znał
Z innéj skarbnicy nie będzie już brał
Więc cóż wy dacie za swój wiek i czas
W prawd tych obliczu — pytam, pytam was? —

Wincenty Pol.

Z PRZYRODY.

Siły fizyczne i siła myśli

przez

Johna Tyndall'a.

(Dalszy ciąg.)

Sprobuję przy téj sposobności dać krótkie objaśnienie stanowiska, z jakiego uczeni zapatrują się na to zadanie. Sądzę, że nie będzie to od rzeczy, tém więcéj, że zarazem powiem kilka słów o dążnościach i granicach współczesnéj wiedzy i postaram się dać wam poznać dziedzinę uważaną przez uczonych za zdobytą, a nadto sfery, w których opierać się ich postępowi byłoby dziecińistwem. O ile możności określę granice istniejące pomiędzy tą sferą a inną, do któréj naprożno dążą wysiłki umysłowe ludzi naukowych.

Zawczasu jednak proszę o pobłażliwość. Nie jestem pewny, lecz zdaje mi się, że amerykanin Emerson powiedział, jakoby było bardzo trudném, a nawet poniekąd niepodobném wygłoszenie stałéj prawdy, nie przynoszącéj, chociażby pozornie, uszczerbku innéj już istniejącej. W tym stanie rzeczy nie pozostaje do wyboru inna droga, jak tylko wygłoszenie jednocześnie obu prawd i przyznanie każdéj z nich udziału w utworzeniu wynikającego ztąd stałego przekonania; często bowiem się zdarza, że prawda, podobnie jak magnes o dwu przeciwnych biegunach, nosi piętno dwoistości. Różnice zdań, tak często wzruszające uczonych, mają źródło w stronności, z jaką niektórzy z nich zapatrują się na jednę stronę téj dwoistości, zapominając zupełnie o drugiéj. Trzeba więc uzbroić się w cierpliwość i oczekiwać aż obie strony przedmiotu spornego zostaną należycie określone, a przytém wyrobić w sobie silne postanowienie zachowania zimnéj krwi w razie, jeśli po stwierdzeniu jednéj z tych stron, okaże się, że takowa jest przeciwną naszym przekonaniom i nie dać się unieść, jeśli będzie z niemi zgodną. Najlepiéj zatém oczekiwać spokojnie do czasu należnego stwierdzenia jednéj ze stron prawdy, a wtedy dopiéro wygłosić zdanie, w którém wyrażamy naszą zgodę lub odrzucenie. Postawiwszy więc kwestję w ten sposób, wracam do pierwiastkowego założenia.

Niektórzy pisarze utrzymywali, że piramidy egipskie są dziełem przyrody. Aleksander Humboldt napisał w młodości osobny pamiętnik, w którym stanowczo zaprzecza temu przypuszczeniu. Dziś nikt już nie powątpiewa, że piramidy egipskie są dziełem ręki ludzkiéj, zbudowaném przy pomocy pewnych maszyn, których wspomnienie nawet nie doszło do naszych czasów. Wyobrażamy sobie, patrząc na nie, masy rzemieślników pracujących przy budowie tych olbrzymów, podnoszących i ustawiających na wskazaném miejscu użyte do budowy olbrzymie głazy, pod kierunkiem woli budowniczego, jego nauki, a może nawet bata. Głazy te, w tym razie, wprowadzone zostają w ruch przez zewnętrzną, wprost na nie działającą siłę, a ostateczny kształt piramidy wyraża myśl przewodnią stawiającego ją budowniczego.

Przejdźmy teraz od tego przykładu twórczéj siły do innego téjże treści, lecz w innym zupełnie rodzaju.

Wiadomo, że poddając powolnemu parowaniu roztwór soli kuchennéj, woda, w któréj sól jest rozpuszczoną znika, a sama sól pozostaje. Doprowadzona do pewnego stopnia zgęszczenia, sól znajdująca się w roztworze nie jest w stanie dłużéj zachowywać własności płynnych; cząsteczki jéj zaczynają się osadzać w kształcie ciałek stałych, lecz tak drobniutkich i maleńkich, że nawet niepodobna rozróżnić ich pod najlepszym mikroskopem. W miarę postępu parowania osadzanie to zwiększa się — i w końcu przez połączenie się w jedno nieskończonéj liczby cząsteczek, otrzymujemy bryłkę soli mającą pewien oznaczony kształt. Jakiż więc jest ten kształt? zapytujemy. W wielu razach jest zupełnie podobny do budowy piramid egipskich. Przez układanie się płaskich warstw jednych na drugie, otrzymujemy małe piramidy zbudowane z soli, tak dalece podobne do egipskich, że mają nawet rodzaj naturalnych stopni podobnych do tych, po których podróżnik, za pomocą przewodnika, wdrapuje się na szczyt piramid egipskich. Na widok jednych i drugich umysł ludzki mimowolnie zadaje sobie pytanie — zkąd się one wzięły? Otóż co do pierwszych wiemy już, że są dziełem ręki ludzkiéj, lecz jak się utworzyły piramidy z soli? Zobaczmy:

Jeśli sądzić będziemy z podobieństwa kształtu, to przypuścimy, że budową ich zajmowały się tłumy niewidzialnych rzemieślników, ustawiających te drobinkowe głazy pod kierunkiem również niewidzialnego budowniczego. Nie będzie to jednak objaśnienie naukowe, i wątpię, żeby wasz zdrowy rozsądek mógł uważać je nawet za przypuszczalne objaśnienie zjawiska, o jakiém mówię.

Nauka objaśnia nam, że dzieje się to na mocy wzajemnego oddziaływania cząsteczek jednych na drugie, bez współdziałania żadnéj pracy ręcznéj, czyli za pomocą przyciągania i odpychania się tychże cząsteczek w pewnych oznaczonych punktach i również oznaczonych kierunkach; piramidalne zatém kształtowanie się soli jest wynikiem tego wzajemnego przyciągania i odpychania. Wypływa ztąd, że głazy użyte do budowy piramid egipskich położone zostały na miejscu, które zajmują za pomocą bezpośrednio działającéj na nie siły zewnętrznéj, a przeciwnie podobne do nich drobniuchne głazy soli, układały się i kształtowały jedynie pod wpływem sił, za pomocą których oddziaływają wzajemnie na siebie.

Umyślnie wybrałem tu sól kuchenną, albowiem znaną jest wszystkim, każde jednak inne ciało mogłoby być równie dobrym przykładem. I rzeczywiście w całéj przyrodzie nieorganicznéj daje się dostrzegać ta siła **kształtowania** jakby ją Fichte nazwał, ta energja budownicza, ciągle gotowa do działania i nadawania określonych kształtów cząstkom materji. Siła ta istnieje wszędzie; lody tworzące się u nas podczas zimy, jak również i te, które zalegają podbiegunowe morza, są wynikiem jéj działania tak dobrze jak kwarc, feldspat i mika znajdujące się przeważnie w naszych skałach. Pokłady kredy składają się po większéj części z nadzwyczaj drobnych muszelek. Te ostatnie są również płodem działania téj siły kształtowania, gdyż każda z nich rozpatrywana osobno, przedstawia dowód drobiazgowego działania téj siły. Składają się one bowiem z maleńkich kryształków spatu wapiennego, do utworzenia których siła kształtowania zmuszoną była używać niedojrzane cząsteczki węglanu wapna. Dążność materji do organizowania się i przybierania określonych kształtów istnieje wszędzie, w ziemi, po któréj stąpamy, w wodzie, którą pijemy, w powietrzu, którém oddychamy, jedném słowém, źródło życia objawia się we wszystkiém, co nazywamy nieorganiczną przyrodą.

Kształty ciał kopalnych, wynikające z takiego wzajemnego oddziaływania na siebie sił, są najróżnorodniejsze i przedstawiają rozmaite stopnie zawikłania. Uczeni uciekają się do wszelkich środków, ażeby o ile możności zbadać tę cząstkową budowę. W tym celu używają światła, ciepła, magnetyzmu, elektryczności i dźwięku. Jednym z najpotężniejszych, a zarazem najwłaściwszych

środków jest światło odbite. Gdy promień takiego światła przechodzi przez cząstki kryształu, te ostatnie oddziaływają na niego, a cechy tego oddziaływania pozwalają wnioskować, do pewnego stopnia, jaki jest układ cząsteczek. Za pomocą tego sposobu można n. p. wybornie oznaczyć różnicę jaka istnieje pomiędzy budową wewnętrzną kryształka soli kopalnéj, a takąż budową kryształka cukru lodowatego. Różnica ta objawia się przy badaniu, pod postacią pięknego zjawiska świetlnego, wypływającego ztąd, że działanie siły cząsteczkowéj objawia się w ten sposób, że pochłania niektóre promienie wchodzące w skład światła białego, a przepuszcza inne, nadając im daleko silniejsze natężenie.

Przejdźmy teraz od minerałów, które przywykliśmy uważać za ciała martwe, do ziarnka zboża, mającego życie organiczne.

Badając ziarnko takie za pomocą światła odbitego, spostrzegamy zjawiska podobne do tych, jakie zauważyliśmy w kryształach. Wyradza się ztąd pytanie: zkąd to pochodzi? Oto ztąd, że budowa ziarnek zboża jest do pewnego stopnia zbliżona do budowy kryształów. Jak w jednych tak i w drugich drobinki zajmują pewne określone miejsca, a układ ich oddziaływa na światło. Lecz znowu zachodzi pytanie: co zgromadziło drobinki składające ziarno zboża? Mówiąc o budowie kryształów powiedziałem już, że jeśli chcecie to możecie przypuścić, że cząsteczki zajmują właściwe miejsca pod wpływem siły zewnętrznéj, bezpośrednio na nie działającéj, i w tym wypadku również możecie przyjąć tę hipotezę. Jeśli jednak to wytłomaczenie tworzenia się kryształów przez działanie siły zewnętrznéj okazało się niedostateczném, to w tym wypadku również takiém się okaże; zmuszeni więc będziecie przyjąć za zasadę, że drobinki ziarna zbożowego układają się same przez się, li tylko pod wpływem siły, wywołującéj ich wzajemne na siebie oddziaływanie. Byłoby szczególną sprzecznością przypuszczać w tym razie działanie jakiéj siły zewnętrznéj, kiedy w poprzednim, mówiąc o kryształach, stanowczo je odrzuciliśmy.

Zamiast przepuszczania strumienia światła, odbitego przez cienkie warstewki pokrajanego ziarnka zboża, zasiejmy je w całości w ziemi i poddajmy działaniu cieplika, czyli inaczéj mówiąc, wprowadźmy w pewien ruch drobinki ziarnka i otaczającéj go ziemi, gdyż cieplik, jak nam objaśnia nauka, jest ruchem drgającym. W tych warunkach ziarno i otaczające go związki, zawarte w ziemi, oddziaływają na siebie wzajemnie, a wynikiem tego oddziaływania jest budowa drobinkowa. Tworzy się najprzód kiełek; wzrasta stopniowo i wydobywa się nakoniec na powierzchnię ziemi, gdzie zostaje wystawiony na działanie promieni słońca. Te ostatnie podobnie jak cieplik, mogą być uważane jako pewien rodzaj ruchu drgającego. Pod działaniem więc cieplika, nadającego ruch drobinkom ziarnka i otaczających go związków, wytworzyła się, jak to wyżéj powiedzieliśmy, pewna budowa drobinkowa t. j. kiełek. Działanie promieni słońca pozwala roślinie powstałéj z kiełka żywić się zawartemi w powietrzu kwasem węglowym i parą wodną i pochłaniać ciała wchodzące w skład pomienionych związków, do których ma szczególne powinowactwo, a zaś wydzielać inne dla niéj niepotrzebne. Tak więc skutkiem bezustannego działania sił w korzeniach, łodydze, zawiązkach istniejących w ziemi, materje zawarte w powietrzu zostają przyciągane ku roślinie i spowodowują jéj wzrost. Widzimy powstające kolejno naprzód kiełek, później łodygę, kłos i ziarno w kłosie. Siły bowiem wywołujące to zjawisko, działają w okresie czasu dopełniającym wytwarzanie się nowych ziarn, podobnych do tych, z których powstały.

Okazuje się ztąd, że w opisanym przebiegu tworzenia się nie ma nic niezrozumiałego dla naszéj pojętności, przy dzisiejszym stopniu jéj rozwoju. Pojętność taka jak nasza, aby tylko była odpowiednio rozwiniętą, mogłaby zbadać cały sytem od początku do końca; nie potrzeba do tego żadnéj nowéj władzy umysłowéj, prócz tych, które posiadamy. Odpowiednio rozwinięty umysł widziałby w tym razie tylko proste działanie siły drobinkowéj; wiedziałby, że każda drobinka zajmuje odpowiednie miejsce pod wpływem własności przyciągania i odpychania, istniejącéj pomiędzy nią a innemi drobinkami. Pojętność taka jak nasza, mając dane ziarnko i wiadome to co je otacza, mogłaby (jeśli tylko, jak mówiłem, będzie odpowiednio rozwiniętą), z góry oznaczyć szczegółowo całe wyżéj opisane tworzenie się i dowieść za pomocą zastosowania zasad mechanicznych, że okres jego nie mógł się skończyć inaczéj, jak przez odtworzenie takichże samych kształtów, z jakich powstał. Widzimy tutaj działanie potęgi podobnéj do téj, która sprawia, że cały system planetarny krąży w około słońca.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD LITERACKI.

Monumenta Poloniae Historica. Pomniki dziejowe Polski, wydał August Bielowski. Tom drugi. Lwów. Nakładem własnym. 1872.

Mało jest w zakresie prac naukowych tak pięknych i pełnych cichéj zasługi przedsięwzięć, jak wydawnictwo źródeł historycznych. Trzeba na to znacznego zaparcia się siebie: pracownik na tém polu poświęca siły i podejmuje olbrzymie trudy na to, żeby innym umożliwić właściwą pracę dziejopisarską. Nie można zaprzeczyć, że dotychczas nie brakło u nas zacnych i godnych uznania usiłowań na tém polu, a kilku magnatów zasłużyło sobie na wieczną wdzięczność narodu, nie szczędząc wydatków na kosztowne tego rodzaju przedsięwzięcia. Były to jednak po największéj części usiłowania — niestety, wielce dyletanckie. Zasłużeni mężowie pracujący na tém polu mieli najlepsze chęci, ale zazwyczaj przytém szczupły zasób fachowych wiadomości. Zapatrując się na dotychczasowe wydawnictwa tego rodzaju ze stanowiska postępowéj umiejętności historycznéj, przyznać trzeba, że są to zacne ale po największéj części nieudolne jeszcze usiłowania. Dość wspomnieć nędzne apokryfy t. z. Kagnimira i Prokosza, które zacny Hipolit Kownacki jako najdawniejsze kroniki polskie wydał, — nawet kodex dyplomatyczny tyniecki, w przeszłym jeszcze roku wydany, służyć może za wzór złego, zupełnie niekrytycznego wydania dokumentów historycznych.

Szczególnie źródła do średniowiecznych naszych dziejów wymagają troskliwego, krytycznego wydania; gdzie w obec fragmentarycznego i niedostatecznego materjału często trzeba się uciekać do konjektur, gdzie dla tego na każde słowo troskliwą uwagę zwracać należy, tam musi być przedewszystkiém pierwotny tekst źródłowych świadectw z późniejszych omyłek i wtrętów oczyszczonym, co daje się osiągnąć tylko przez żmudne krytyczne porównanie wszystkich znanych rękopisów. Mamy już na szczęście kilka wydawnictw, które tym wymogom całkowicie lub w znacznéj części przynajmniéj odpowiadają: tu należą niektóre nowsze dyplomatarjusze, przedewszystkiém zaś Helcla „Starodawne prawa pol-

skiego pomniki" i Bielowskiego „Monumenta Poloniae historica."

Czcigodny ich wydawca wziął sobie za wzór sławne niemieckie wydawnictwo „Monumenta Germaniae historica." Olbrzymia ta publikacja już z natury rzeczy saméj i dla stosunków, w których się znajduje, inny przedstawia widok, niż nasze Monumenta. Dotychczas wydała ona na świat 23 tomów, czterykroć większych od naszego dzieła; wszystkie rządy niemieckie przyczyniają się do jéj podtrzymania — rozporządzając więc znacznymi środkami, posiada wyborną organizację i płatnych pracowników, którzy dalekie podróże dla odpisywania rozrzuconych manuskryptów odbywać mogą. U nas inaczéj; tém większa więc zasługa wydawcy naszych Monumentów, iż przy szczupłych prywatnych środkach umie w znacznéj części sprostać niemieckiemu wzorowi a czasami go nawet prześciga.

Drugi tom Monumentów nierównie ważniejszy od pierwszego, zawiera główne źródła kronikarskie do naszych średniowiecznych dziejów. Rozpoczyna się wyjątkami z dwóch kronik niemieckiego klasztoru w Zwifalten (Ortlieba i Bertolda), ciekawym przyczynkiem do ciemnych jeszcze dosyć dziejów naszych pierwszéj połowy XII wieku. Co do następujących kilku „bul i listów dotyczących Polski", poważylibyśmy się powiedzieć, że wydrukowanie ich nie było rzeczą koniecznie potrzebną. Nie należą one właściwie do wydawnictw tego rodzaju, co „Monumenta", ale raczéj do dyplomatarjusza. Wszystkie są już wreszcie wydane w publikacjach dość rozpowszechnionych, niektóre nawet już po kilkakroć. Wystarczyłyby ostatecznie regesta, zwracające na nie uwagę pisarza, któremu byłyby potrzebne. Ważne dla dziejów Bolesława Krzywoustego wyjątki z żywotów apostoła Pomorza, św. Ottona, biskupa bambergskiego, pióra Ebbona, Herborta i mnicha prieflingeńskiego, podano według wydania w zbiorze „Monumenta Germaniae historica", z niektóremi oryginalnemi adnotacjami. Po tych żywotach następuje — najsłabsza część szacownego dzieła: kronika Mierzwy. Co do nazwiska kronikarza (Mierzwa, nie Dzierzwa) ma szanowny wydawca podobno słuszność; co do głównéj jednak kwestji, przyznać musimy, że nas uczone, zręczne częstokroć ale téż często i naciągane wywody przekonać nie zdołały, iż to jest przerobiona nieco najdawniejsza kronika polska a nie kompilacja z końca XIII wieku. Musimy tu poprzestać na téj ogólnéj uwadze, nie rozbierając szczegółowo krytycznych wywodów wydawcy, gdyż to wymagałoby osobnéj obszernéj rozprawy. — Staranne wydanie kroniki mistrza Wincentego (Kadłubka) jest jedną z największych zasług IIgo tomu Monumentów; mieliśmy dotychczas już kilka wydań, ale żadne z nich nie odpowiadało wymogom umiejętności historycznéj. Sumienna, obszerna przedmowa (str. 194—248) poprzedza tekst; wydrukowaną ona już była całkowicie lub w znacznéj części przynajmniéj w IIgim tomie pisma „Na Dziś." Przedewszystkiém na uznanie zasługuje oficjalne zarzucenie przydomku „Kadłubek" w imieniu kronikarza; zagadkowy ten przydomek znajduje się tylko w późniejszych świadectwach i należycie, mimo licznych usiłowań, wyjaśnionym być nie może, — znana bystra konjektura wydawcy Monumentów (V. Katlubonis = V. Gotlobonis = V. syn Bogusława) nie może się podobno ostać w obec zarzutów A. Gutschmidta. Wielką zasługą téj przedmowy jest obszerny, niezmiernie dokładny opis wszystkich 30 rękopisów kroniki. Wywody wydawcy o czasie spisania kroniki są zupełnie przekonujące (str. 217—223); w obec nich nie powinno już podlegać wątpliwości, że Wincenty największą część swéj kroniki pisał jeszcze za życia Kazimierza Sprawiedliwego (do 17 roźdz. IV księgi); zapatrywanie H. Zeissberga (Vincentius Kadłubek und seine Chronik Polens, str. 81 sq.), przenoszące spisanie kroniki aż w czas pobytu Wincentego w klasztorze (po r. 1218) nie jest dostatecznie uzasadnioném. W ocenieniu zalet i wad kroniki Wincentego okazuje się wydawca nierównie sprawiedliwszym niż dawniéj, kiedy jéj wartość bez wątpienia zbytnio przeceniał. Tekst właściwy Wincentego zestawiony jest z późniejszém skróceniem Mierzwy (według zdania wydawcy: jego dopełniacza). — Po Wincentym następuje kronika Boguchwała i Godysława Paška: tekst opracowany przez W. A. Maciejowskiego, niedługa przedmowa pióra A. Bielowskiego. Dopiéro to wydanie umożliwia właściwie należyte korzystanie z téj kroniki, — w obec dawnego wydania (z r. 1730 w Scr. rer. silesiae), w którém Sommersberg mylnie jakiś zepsuty tekst odczytał a mylniéj jeszcze oddrukował, było to prawie niemożliwém. W przedmowie broni wydawca autorstwa Boguchwała przeciw A. Mosbachowi, który autorstwo całéj kroniki Godysławowi przypisuje; ważnym argumentem w tym względzie jest uwaga przy tekscie na str. 552: wzmianka o Konradzie mazowieckim († 1247), jako o żyjącym, wskazuje, że ta część kroniki wcześniéj spisaną została; słusznie uważa téż wydawca za późniejszą interpolację ustęp (str. 576), na którym się A. Mosbach opiera, utrzymując, że kronika napisaną została po r. 1290. — Niemniéj ważném jest także wielce staranne wydanie kroniki Jana z Czarnkowa, opracowane przez ś. p. Jana Szlachtowskiego, gdyż i ten najpiękniejszy kwiat naszego kronikarstwa posiadaliśmy dotychczas tylko w haniebném Sommersbergowskiém wydaniu. Wzorowo napisaną jest przedmowa do téj kroniki a nieocenioną jéj zasługą jest dokładne opisanie kodexów rękopiśmiennych, zwłaszcza Ottoboniańskiego; jest ono bardzo ważnym przyczynkiem do krytycznego zbadania ważnych źródeł, znajdujących się w tych kodeksach a przedewszystkiém ułatwia znacznie orjentowanie się w zasobie roczników polskich. Wielką trudnością w wydaniu téj kroniki było bezładne porozrzucanie pojedynczych rozdziałów w rozmaitych kodeksach. Przedwcześnie zgasły wydawca pokonał zwycięzko tę trudność a zachowany w wydaniu porządek rozdziałów uzasadnił w cennéj przedmowie. Wartość tego wydania kroniki Jana z Czarnkowa jest tém większą, iż znajdują się w niém niektóre niewydane dotychczas ustępy, brakujące w wydaniu Sommersberga. — Dopiéro pierwsza część zasobu roczników polskich ukazała się w IIgim tomie Monumentów, drugą część zachował wydawca do tomu trzeciego. Prawie wszystkie te roczniki (z wyjątkiem rocznika wielkopolskiego i rocznika Sędziwoja) wydane zostały już w XIX tomie Monumenta Germ. Hist. przez W. Arndta i R. Röpella z współdziałaniem A. Bielowskiego. W nowém wydaniu pozmieniane są gdzieniegdzie tytuły roczników (Ann. Crac. vetusti = R. świętokrzyski dawny, Ann. Crac. compilati = R. krakowski, Ann. Polonorum = R. Traski); co do „rocznika krakowskiego" i „rocznika Traski" podobno niezbyt szczęśliwie. Słusznie postąpił wydawca zestawiając bliżéj pokrewne roczniki, inaczéj niż w wydaniu Arndta i Röpella: rocznik kapitulny krakowski z wielkopolskim, krótkim (Ann. Crac. breves) i jego dopełnieniem, a r. Traski z r. krakowskim. Sumienne przedmowy do pojedynczych roczników uzupełniają w niektórych miejscach pobieżne gdzieniegdzie przedmowy wydawców niemieckich. — Po rocznikach następuje opis bitwy pod Dąbrownem (Grunwaldem), odkryty w r. 1857 przez A. Bielowskiego a wydany już przez E. Strehlkego w IIIcim tomie Scriptores rerum prussicarum p. t. Cronica conflictus Wladislai regis Poloniae cum Cruciferis Anno Christi 1410. Koniec IIgo tomu Monumentów stanowią 3 kalendarze (historyczne zapiski przy kalendarzach): krakowski, władysławski i czerwiński. Cenny, obszerny kalendarz krakowski wydanym raz już został przez Łętowskiego w IVtym tomie katalogu biskupów

krakowskich, wydanie to było jednak mylne i w ogóle niedostateczne. Zaletą nowego wydania jest przedewszystkiém to, iż za pomocą trzech różnych druków uwydatniono w niém paleograficzne cechy pojedynczych zapisków, tak, że rozpoznać można, które są z XIIIgo, które z XIVgo, a które aż z XV wieku.

Niepodobna dziś jeszcze orzec, o ile udała się wydawcom tych pomników rekonstrukcja pierwotnego tekstu; okaże się to dopiéro późniéj, kiedy praca dziejopisarska będzie korzystać z tego wydania. W każdym razie, choćby nawet ta rekonstrukcja w tém lub owém miejscu wypadła niezbyt szczęśliwie, podają pracownikowi warjanty obfity materjał do nowych w tym względzie usiłowań. — Wspomnieć nakoniec należy o siedmiu tablicach wzorowo wykonanych faksymiljów, które stanowią piękną i cenną ozdobę tego szacownego dzieła.

Niechaj nam wolno będzie zakończyć gorącém życzeniem, żebyśmy na trzeci tom Monumentów nie długo czekać potrzebowali. Pomnikowém tém — w całém tego słowa znaczeniu — wydawnictwem postawi sobie czcigodny badacz przeszłości naszéj pomnik tak trwały, iż każdy pracownik na polu polskiego dziejopisarstwa z wdzięcznością zasługi jego wspominać będzie. Oby wydawca Monumentów rychło doczekał się bujnego plonu swych trudów! — Plonem takim będzie każda praca o naszych dziejach średniowiecznych.

St. Sm.

TEATR.

Począwszy od „Dziewic nocy“ a kończąc na „Berku zapieczętowanym“, cały repertoar ubiegłego tygodnia był tego rodzaju, że nie mamy ani woli, ani obowiązku wspomnieć o nim choćby tylko słów kilka.

Wolimy przeto podzielić się z czytelnikami miłą wiadomością, że Rada nadzorcza i Dyrekcja spółki akcyjnéj teatru polskiego w Poznaniu raczyły nareszcie przypomnieć sobie dobrowolnie przyjęty obowiązek i mają podobno zacząć się krzątać około budowy polskiego teatru.

Oto co pisze w téj mierze dobrze poinformowany „Dziennik Poznański“ z dnia 28 stycznia:

„Na odbytém w dniu wczorajszym posiedzeniu Rady nadzorczéj i Dyrekcji spółki akcyjnéj teatru polskiego, uchwalono bezzwłocznie rozpocząć budowę teatru na placu przy Berlińskiéj ulicy pod Nr. 31 położonym. W tym też celu Dyrekcja upoważnioną została do pozawierania z przedsiębiorcami umów o dostawę materjałów, a następnie zaraz z wiosną rozpoczęcia budowy. Wedle kosztorysów i anszlagów budowa ta kosztować będzie, jak to już donosiliśmy, 70 tysięcy tal., a mianowicie sam budynek 50 tysięcy przeszło, maszynerja zaś, dekoracje i inne utensylja teatralne przeszło 9 tysięcy talarów. Taka więc suma, aby budowa ukończoną została, jest potrzebną. Tymczasem, po spłaceniu znacznéj części szacunku nabytéj nieruchomości, w kasie Spółki jest obecnie 25,200 tal.; do św. Jana suma ta przez spłacenie raty świętojańskiéj urośnie do 30 tysięcy przeszło. — Zatém w każdym razie braknie jeszcze do zupełnego wykończenia teatru 40 tysięcy talarów. Aby pozyskać tę kwotę bez uciekania się do pożyczki, Rada nadzorcza postanowiła rozsprzedać pozostałe jeszcze z dwóch tysięcy uchwalonych przez walne zebranie 300 akcji. Do zajęcia się tém upoważniła prezesa Dyrekcji p. Ignacego Grabowskiego, dodając mu do pomocy pięciu mężów zaufania, do których stósowne odezwy wygotowała — upraszając ich o poparcie i pomoc w tym względzie, a mianowicie: pp. Dr. Niegolewskiego z Mórownicy, Ludwika Śląskiego z Trzebcza, hr. Alfonsa Sierakowskiego z Waplewa, Ignacego Moszczeńskiego z Wiatrowa i Alfonsa Moszczeńskiego z Rzeczycy.

Nadto postanowiła wydać odezwę do wszystkich akcjonarjuszy z prośbą, by, jeśli się to możliwém okaże, pozostające jeszcze raty do wypłaty jednorazowie w tym jeszcze roku wpłacili. Jeśli nadzieje Rady nadzorczéj na téj drodze się ziszczą, w takim razie odwoływanie się do pożyczki nie będzie potrzebném i budowla rozpoczęta w biegu swym nie dozna najmniejszéj przeszkody. Cokolwiekbądź nastąpi, Rada nadzorcza i Dyrekcja Spółki z własnego przeświadczenia i ulegając słusznemu ogólnemu życzeniu, jak obecnie materjały do budowy i wszelkie w tym względzie potrzebne przygotowania czyni, tak też samą budowę faktycznie zaraz z początkiem wiosny rozpocznie. Prowadzić ją będzie energicznie tak, by na zimę téatr był gotowym do użytku.“

Nie będąc bynajmniéj stronnikami znanéj a niefortunnéj polityki „jakoś to będzie“, jesteśmy jednak przekonani, że raz rozpoczęta budowa dla braku funduszów przerwaną nie zostanie, akcjonarjusze bowiem w obec spełniającego się czynu chętniéj nierównie wpłacać będą przypadające raty, aniżeli to miało miejsce dotąd, kiedy budowa gmachu była czczą tylko nadzieją, a wiara w jéj urzeczywistnienie słabła z dniem każdym. Zresztą nie pozwolilibyśmy sobie wątpić ani na chwilę, że obywatelstwo nasze tak wiejskie jak miejskie, znane od wieków z gotowości popierania każdego praktycznego celu, każdéj narodowéj instytucji, nie miało chętnie nabywać nowych akcji z chwilą, gdy Dyrekcja współki uzna za stósowne puścić je w obieg.

Tak tedy zarówno głos publiczny jak i my, zadowoleni z postanowienia Rady nadzorczéj dotyczącego budowy teatru, oczekiwać będziemy gorąco stanowczego spełnienia ważnego przedsięwzięcia, które dając teatrowi możność rozwinięcia prawidłowéj organizacji, uwolni też i nas od utyskiwań nad smutnym stanem repertoaru i lukami w składzie personału.

* * *

W piątek dnia 7go lutego daną będzie na benefis sympatycznéj i lubionéj artystki pani Bolechowskiéj słynna konkursowa komedja R. Kneisla p. t. „Córa piekła“ (Die Tochter Belial's) w przekładzie p. Stanisława Szczanieckiego i z doborową obsadą wszystkich ról. — W tydzień późniéj przypada benefis dwóch młodych a niezwykle uzdolnionych artystów pp. Liedkego i Puchniewskiego, którzy wybrali sobie na ten wieczór w wysokim stopniu dowcipną komedję pp. Meilhac i Halevy p. t. „Tricoche i Cacolet.“ Spodziewać się należy, że publiczność oba te przedstawienia zaszczycić nie omieszka liczném zebraniem.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
RZECZACH POLSKICH.

— **Adam hr. Sierakowski**, autor dzieła lingwistycznego „Das Schaûï“, podróżujący w celach etnograficznych, bawi obecnie w Kalkucie.

* * *

— **M. Bersohn** wydał w Krakowie dzieło p. t. „Tobiasz Kohn, lekarz polski w XVII wieku.“

* * *

— **Kopernijana**. Autor żywota astronoma polskiego, ks. J. Polkowski, otrzymawszy 500 tal. nagrody zą ogłoszony konkurs na 400-letnią rocznicę rodaka naszego, obrócił te pieniądze na trzy-tomowe ogłoszenie drukiem tego wszystkiego, cokolwiek się tyczy Kopernika i jego mianem ten troskliwy i umiejętny zbiór nazwał. Pierwszy tom mamy już pod ręką; jest on nadzwyczaj pięknie odbity. Mieszczą się w nim prace Kopernika w przekładach polskich (oprócz trygonometrji i obrotów ciał niebieskich) i kilku rozpraw, dotyczących rodzinnego miasta jego, jak Dominika Szulca i t. p. W drugim tomie będzie ikonetyka, do której główny zasób przesłał Towarzystwu Przyjaciół Nauk z Warszawy posiadacz najbogatszego tu zbioru Dr. H. Sk. Następują z akt wyciągi, dotyczące rodziny Kopernika; listy różnych osób, odnoszące się do życia, nauki i czci, składanéj temu wielkiemu mężowi. — Trzeci tom obejmie 12 rozpraw i artykułów po polsku o Koperniku dotąd wydanych; o pomnikach, wreszcie tłomaczenie rzeczy po angielsku, francuzku i t. d. wydanych. Nader ważne te zasoby przyczynią się do pamiątek na dzień 19 lutego przygotowanych, a imię Polkowskiego jako najgorliwszego w téj sprawie współpracownika, podadzą wiecznéj pamięci i zasłużonéj wdzięczności. (Kur. Codz.)

* * *

— Pod redakcją **J. I. Kraszewskiego** wychodzić ma w Dreznie lub Lipsku od 1 lipca Przegląd Powszechny, poświęcony literaturze, sztukom i naukom.

* * *

— Krakowska „**Pochodnia**“ wychodzić przestała. Ubolewając nad obojętnością naszéj publiki, powtarzamy tu odezwę wydawcy jéj p. Walerego Tomaszewicza:

„Uznając potrzebę pisma, któreby śmiało, otwarcie, bez krępowania się żadnemi względami, a z godnością wypowiadało prawdę — któreby jednak walcząc przeciw złemu i burząc stare strupieszałe budowle, stawiało nowe: przyjąłem propozycyę udzielenia méj firmy „Pochodni“, wydawnictwo bowiem „Pochodni“ podjęte zostało przez p. Michała Wołowskiego, który jednak już przy drugim numerze je opuścił... nie chcąc Szan. abonentów narazić na zawód, doprowadziłem do końca kwartału — dzisiejszy numer jest ostatnim.

Jeżeli okoliczności nie staną na przeszkodzie, chętnie rozpocznę na nowo wydawnictwo, dzisiaj nie widząc racji bytu pisma, przy nader szczupłéj liczbie abonentów, zwijam je.“

* * *

— Pod napisem „Les rapports des **Russes** et des **Polonais**, jugés par un Bohème“ zamieszcza wychodząca w Pradze czeskiéj „Correspondance Slave“ (Nr. 101 sqq.) w przekładzie francuzkim kilka ustępów z Listów o Polsce i o Rosji p. Pervolfa, profesora archeologji sławiańskiéj z Warszawy, który żąda, ni mniéj ni więcéj, jak zupełnego zrusyfikowania znajdujących się pod panowaniem rosyjskiém ziem polskich, a to w celu zamknięcia drogi cisnącemu się na wschód germanizmowi. „Correspondance Slave“ zastrzegając się przed pomysłami p. Pervolfa, zauważa słusznie, że głoszone przezeń zasady z tém samém prawem mogłyby być zastósowane przez Niemców w Pradze czeskiéj, a przez Węgrów w Kroacji.

* * *

— Z Nr. 3go „Szczutka“ Lwowskiego wypisujemy wiersz następujący:

Lat temu dziesięć.

Dziesięć lat temu gdy garstka młodzieży,
Z kosami w ręku, boso, bez odzieży,
Moskalom wojnę wydała;
Zbudził się naród, zadzwoniły pęta,
Padło zarzewie — i walka zacięta
W sercu ojczyzny zawrzała...
Więc z ponad Warty, Sanu, Dniepru, Dźwiny
Szli do powstania wierne Polski syny,
Lat temu dziesięć!

Dziesięć lat temu... Szkoda lwiego męztwa!
Walczącym garstkom nie dał Bóg zwycięztwa
I skazał je na zatratę...
Rzezią i stryczkiem znowu dzika siła
Grobowy spokój w Polsce przywróciła,
I świeżą dala jéj kratę...
W oczach spodlonéj milczeniem Europy
Krwawego żniwa krwawe padły snopy
Lat temu dziesięć!

Dziesięć lat temu? a przecie jak wczora!
Bo choć nas gnębi znów niewoli zmora,
Żyjem wspomnieniem téj chwili!
I choć Stańczyki na tę krew przelaną
Pluli, i Polskę mordami znękaną
Błazeńskiém berłem karcili —
Przecież wykarmi pokolenie całe
Ta krew, wylana ojczyźnie na chwałę,
Lat temu dziesięć!

Dziesięć lat temu! Już się zabliźniły
Bolesne rany i już nowe siły
Wstępują w narodu ciało.
I inne dzisiaj naszych prac koleje,
Lecz gdy w nich ducha przyszłość nie rozgrzeje,
To nic go nie będzie grzało!
Czcijmy więc świeżą kartę téj przeszłości
W tych, co oddali życie dla wolności
Lat temu dziesięć!

* * *

— Przemówienie wstępne **Mieczysława Darowskiego** na walném zgromadzeniu stowarzyszenia rękodzielników lwowskich „**Gwiazda**“ z dnia 19 stycznia b. r.:

„Ukochani bracia moi! Zagajając dzisiejsze walne zgromadzenie, przed odczytaniem sprawozdania z czynności wydziału w roku ubiegłym, przychodzi mi wam podać, co serca nasze ciężką dotknęło boleścią. — W tym roku złowrogiéj rocznicy stuletniéj niewoli, pokryły mogiły dwóch naszych członków honorowych — ś. p. Wincentego Pola, wieszcza naszego, i ś. p. Stanisława Dr. Chlebowskiego, dyrektora szkoły realnéj, którego widywaliśmy zawsze na walnych naszych zgromadzeniach i na zebraniach w komisji naukowéj, zacnych, a nam życzliwych mężów światła i nauki. — Żal po śmierci **Wincentego Pola** odtętnił w kraju całym, a myśmy pierwsi we Lwowie pragnęli w uroczystém nabożeństwie zanieść modły do Boga o spokój duszy jego, ale ustąpić musieliśmy szlachetnym chęciom przewielebnego ks.

Ufryżewicza, prezesa zakonu Dominikanów, który przekonał nas, że nabożeństwo za dusze wieszcza co przeszłość Polski naszéj uwiecznił w pełnych natchnienia arcydziełach poetycznych, nie powinna wyjść z jednego stowarzyszenia, ale że on to podejmie w imieniu ogółu, w imieniu wszystkich we Lwowie, w kim tylko serce dla Polski naszéj bije goręcéj — i świetnie wypełnił to zobowiązanie.

Trzecia mogiła świeżo pokryła zwłoki ś. p. **Seweryna Mielżyńskiego**, z r. 1831 towarzysza mego w pułku jazdy poznańskiéj. Podnoszę tu wspomnienie o Sewerynie Mielżyńskim, bośmy pragnęli i uchwalili zaprosić go w poczet członków naszych honorowych, jako męża pełnego miłości ojczyzny, jako męża niewyczerpanéj ofiarności czy to dla cierpiących w kraju, czy dla braci z tułactwa przybywających, czy rozpryśniętych po całéj kuli ziemskiéj, czy dla uczącéj się młodzieży, któréj pomoc tak hojną podawał ręką, że gdy ostatnią wolą przekazał, aby nie ustawało z śmiercią jego wspieranie tych, których podejmował w szkołach i wszechnicach, wykaz i spisy tych okazały się tak liczne, że tylko przy dobrym zarządzie bardzo znacznego pozostałego majątku, dochód z tego wystarczyć zdoła. Dom pp. Sewerynów Mielżyńskich otwarty i najgościnniejszy, był przytuliskiem nietylko dla cierpiących, ale i dla mistrzów naszych czy to słowa czy sztuki, którzy tam najuprzejmiéj podejmowani, swobodnie pracować mogli. Mając zamiar w początku roku tego odwiedzić dom ten przezacny, miałem wręczyć ś. p. Sewerynowi zaproszenie to na członka honorowego stowarzyszenia „Gwiazdy", lecz tymczasem śmierć nam go wydarła. — Poznałem w pułku jazdy poznańskiéj trzech braci Mielżyńskich, — pozwólcie, że wspomnieniem uczczę ich pamięć, a sercu memu jednając w boleści po stracie tychże współczucie wasze, ulgę sobie przyniosę. — Trzech ich było i wszystkich śmierć nam wyrwała, a każdy z nich, acz odrębnego zapatrywania i chodu, przejęty był najgorętszą miłością ojczyzny. — Najstarszy Maciéj, najsympatyczniejszy z ludzi jakich w życiu mojém zaznałem, bolejący za straconym ojczyzny naszéj w przeszłości świetnym bytem, tam się myślą odnosił i pragnął, że się wyrażę, na fundamentach przeszłości poprawy co złém było i odbudowania, a że do tego nieodzowném światło, nauka i wszechstronne uzdolnienie, więc do prac Towarzystwa Pomocy Naukowéj najgoręcéj się przykładał i to po śmierci niewygasłéj pamięci Karola Marcinkowskiego powołało go na prezesa.

Drugi Ignacy miał na myśli chwilę obecną, toż w każdéj utarczce, w każdéj bitwie szedł w ochotniki, gdyż, mówił, ażeby być, ażeby lepiéj nam było, ażeby odżyć, potrzeba złamać wrogów moc szatańską, — i w bitwie pod Szawlami, w ataku z szwadronem 3go pułku ułanów na baterje, poległ śmiercią walecznych.

Trzeci nasz Seweryn w przyszłość okiem sięgał, pragnąc zmartwychwstania ojczyzny widział, że do tego doprowadzić może rozniecenie miłości ojczyzny w każdém żywiéj bijącém sercu, — odrodzenie się kilkunasto-miljonowém tchnieniem w miejsce parukrociowego dawnéj Polski, ależ aby miłować gorąco, potrzeba przekonania, ażeby zaś dojść do przekonania potrzeba światła, potrzeba nauki, potrzeba świadomości rzeczy, — nie szczędząc więc popierał w naukach młodzież czy to w szkole, wszechnicach czy warsztatach. — Cześć więc pamięci jego cześć, — jak równie cześć pamięci wieszcza naszego Wincentego Pola, uposażonego najchojniéj natchnieniem poetycznéln, cześć pamięci Stanisława Chlebowskiego, niezmordowanego pracownika na naukowéj niwie, — wzywam was, cześć ich pamięci zgromadzenie niech przez powstanie wyrazi.

I widzicie tu bracia moi, obok bardzo zamożnego obszernemi dobrami ś. p. Seweryna Mielżyńskiego, któremu powiecie łatwiéj było sypać dary jak z rogu obfitości i zasługiwać się tém sprawie ojczystéj — widzicie tych, co z zapracowanego grosza żywot swój pędzili, tak wieszcza naszego ś. p. Wincentego Pola, jak i Dr. **Stanisława Chlebowskiego**, a przecież zasługi ich są wielkie, bo ich serca przejmowała miłość ojczyzny i ta wieszczowi dała chwile ciągłych natchnień, które przy pracy badania dziejów narodowych, ułatwiały zrozumienie, odgadywał bowiem duchowo co bez natchnień dla wielu innych ciemném, i bogactwem całém jakiém Bóg go uposażył służył i tak się zasłużył ojczyźnie, że śmierć jego echem boleści odbiła się o dwa graniczne nam morza. A ś. p. Stanisław Chlebowski, skromny, cichy, ale głębokiéj nauki, mrówki pracą chodził koło kształcącéj się w szkole realnéj młodzieży, a choć po pracy takiéj pewnie pożądanym był wypoczynek, ilekroć zaprosiliśmy go na naradę naukową dla stowarzyszenia naszego, zawsze się stawił.

* *
*

— Ostatni numer przeglądu czeskiego „Osveta" zamieszcza pomiędzy innemi studjum nad **Polską przed stoma laty.**

* *
*

— Znany i zdolny poeta Adam Asnyk (**El...y**) odbywając obecnie podróże po Włoszech, napisał w Rzymie dramat „Cola di Rienzi", do którego natchnęły go zapewne tradycje i pamiątki, jakie do dziś dnia przechowały się w wiecznem mieście po słynnym trybunie XIV wieku. Dramat ten przy pomocy autora tłomaczy na język włoski pewien włoski poeta. (Dz. polski).

Skrzynka do listów.

— P. M... D... we Lwowie: Prosimy o słów kilka o uczczeniu pamięci **Kopernika** w „Gwiaździe" lwowskiéj.

— Księgarni polskiéj: Równocześnie z wysyłaniem naszego odebraliśmy list Księgarni — rachunki nasze do końca roku zeszłego wyrównane — prosimy o katalogi wasze.

— P. A... S... z S...: Bardzo bylibyśmy łaskawemu Panu wdzięczni za wiadomości z piśmiennictwa rosyjskiego, lecz zamiast tytułów prosilibyśmy o kilka słów, streszczających owe utwory.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.